Cena N-ru 10 Mkp.

ROK 53 KRAKÓW, DNIA 6. MARCA 1921. Nr. 10

DJABEŁ



Prenumeratę, listy, artykuły należy nadsyłać pod adresem
WYDAWNICTWO TYGODNIKA „DJABEŁ“
WŁADYSŁAW BORKOWSKI
Kraków, ul. Niecała 4.
Cena egzemplarza 10 Mkp.

PRENUMERATA
W KRAKOWIE I NA PROWINCYI WRAZ Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ:
MIESIĘCZNIE 40 MKP.
Cena egzemplarza 10 Mkp.

WYCHODZI CO SOBOTĘ.

TYGODNIK SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNY, ILUSTROWANY.

NA POMOC NIEMCOM I BOLSZEWJI.

Ku uciesze Niemca, co z radości fika,
Ku uciesze także pana bolszewika,
Garstka kolejarzy polskich (?) strajk zrobiła,
Aby się rozpadła w proch państwowa siła.

Lecz mimo pomocy naszych pepeesów,
Strajk nietylko żadnych nie odniósł sukcesów
Ale od większości nawet kolejarzy
Strajkowcy poczuli ślinę na swej twarzy.

WICEK SOCJALIK.



Partyjo alkoholiczna w syjmie, o którуj psiokrew założyniu grypsałem w jednym z poprzednikowych lumerów Djabła, nie zasypia (jak to pedajom) gruszek w popiele, ale działa lo szczyńść a międzynarodowyj ludzkości, a przedewszystkiem psiokrew lo ludzi oddających się z zamiłowaniem zawodowi trunkowymu. Staraniem onyj partyi pan minister ode skarbu mo wniść na syjmie, coby bez niedzile z połówką soboty i poniedziałku wolno beło sprzedawać wilgoć mającom 8 percent alkoholu, a nie ino 2½, jako to psiokrew beło na wstyd kulitury bez syjm uchwalune. Wódeczność bedzie psiokrew mogła być zawierająca 60 procent alkoholu, a nie ino 45. Ale co psiokrew najważnijsza, to to co w byłej Galicji, która sie tero wabi Małopolską, pan minister przedłuży wszystkim kirniom prawo dalszygo szynkowania na lat dziesińć, to jezd do r. 1931 — a mioła być już w tyraźnijszym roku zwinięta psiokrew połowa kirni. Tak psiokrew dzięki partyi alkoholowyj, naród polski nie cofnie się w kulituze, bedzie śmiało kroczący za postympem cewilizacji, a jezd nadzija co solidurność partyjności lewicowo-prawicowych, prawdziwie dymokratyczno konserwowych, wywalczy psiokrew lo narodu zupełnom psiokrew wolność trunkowom.

Wobec takigo psiokrew donioslygo faktu, ni mom dziś chynci gwarzenia o jenszych znikomych jenteresach, jak na ten przykład o śtrajku smarowozów, o którym różne psiokrew ryjaki [1]) gwarzom co jezd bolszewikom pomagający. Pan Witos tak sie psiokrew rozeźlił, co wydał befel zmieletyranizowania kolei i ogłosiuł co każe strzylać. Ale Ignac jako sempiternik [2]) kolejarzy kazował coby cały międzynaród zrobił manifistację i bez dwa dni nie beł nic robiący. Międzynarodowi nie trzo dwa razy pedzieć: nie rób! — nimo większyj psiokrew solidurności jak w nieróbstwie. I zaro panu Witosowi zmiękła ruła i zaczon robić z kolejarzami kompromitację [1]). Tak sie pokazało, co to som psiokrew ćmoje coby siła beła w pracy — bo siła jezd psiokrew w nierobieniu. Ino burżuje jajczyły co bez dwa dni nie mioły co do tworzy włożyć, bo męczybuły chleba nie beły psiokrew piekące. Chyba beła ino w tym, co i sempiternikom smarowozów flakiem w bandziochu trzepało. Na drugi raz psiokrew trzo bedzie naprzódzi napiec lo międzynarodu chleba i buł, a potym psiokrew dopiru śtrajk ogłosić. Ale najwięcyj do śmichu beło to, co kolejarze śtrajkuwały, a koleje psiokrew chodziły morowo, nic sobie ze smarowozów nie robiące. Trzo beło tak psiokrew zrobić z męczybułami — niechby se strejkuwały, bele buły beły.

[1]) zapewne: reaki.
[2]) zapewne: sympatyk.

[1]) zapewne: kompromis.

ORGANIZACJA.

Architekt zrąb założył pod piękną świątynię
I jął ciosu układać warstwę jednolitą —
Ale los na budowę zaprowadził świnie,
Które rzekły: Tu będzie stać nasze koryto.
I może przyjdzie przyjąć tę losów odmianę,
Albowiem świnie... dobrze są zorganizowane.

Z CHWILI.

Rozlepiono po Krakowie plakaty z odezwą żydów do kupców żydowskich, aby składali ofiary pieniężne na plebiscyt górnośląski. Odezwa, o ile nam wiadomo, wydała wspaniały rezultat, ponieważ koszta druku plakatu omal, że się już nie powróciły. Jest wszelka nadzieja, że za jaki tydzień zupełnie zostaną pokryte.

W ruchu strajkowo-komunistycznym na rzecz Niemiec i Bolszewji, Kraków zajął pierwsze miejsce, tylko w jednym bowiem Krakowie przez dwa dni strajkowali zecerzy i dzienniki ukazać się nie mogły. Również tylko w jednym Krakowie przez dwa dni pieczywa nie było. Słusznie więc się należeć będzie naszemu miastu order: Czarnego orła i „Polonia perduta".

Podobno koszta przyjęcia kilkunastu reporterów w Wielkopolsce dosięgły pół miljona marek. Ile też Wielkopolska zapłaci, jeżeli zechce gościć prawdziwych publicystów?

TELEGRAMY BEZ PODPISÓW.

Moskwa. Jakże idzie nasz wspólny interes w Warszawie. Myśmy posłali agentów i dali pieniądze — czy strajk się rozwija? czy koleje przestały chodzić? czy ze strony pepeesów pomoc zapewniona? (Podpis).

Berlin. I my sypnęliśmy pieniądzmi — ale strajk kolejowy zrobił klapę. Pepeesi usiłowali wywołać strajk powszechny — ale też klapa. Widać za mało daliście, albo agenci wasi pokradli.

(Podpis).

Moskwa. To nie my lecz wyście za mało dali. Żal wam było marek, padlecy. Czort was bieri...

(Podpis).

NARADA.

Grono mężów ze wszystkich naszych demokracji
Radziło wczoraj długo o aprowizacji.
Ciągło się posiedzenie aż cztery godziny —
Byli „ojcowie" miasta, były jego syny.
A jako sprawę mięsną tam wentylowano,
Zatem panów rzeźników grzecznie przywołano,
By wspólnie z nimi dociec: czyja to jest wina,
Że jest drogą i marną podła chabanina,
Że tłuszczu nie dostanie, pomimo drożyzny;
Że w masarniach masz tylko salceson z głowizny,
I „leberwursztu" stosy — a wszystko po cenie,
Na którą stać jedynie paskarskie kieszenie.

. . . .

Idzie dyskusja. Kupiec rolnika oskarża,
Rzeźnik znów pośrednika, a rolnik garbarza.
Wszyscy biją w magistrat, ale ten niewinny,
Mówi, że wszystkiemu jest ziemianin winny.
Ziemianin się przysięga, że chłop winowajcą,
Chłop aprowizacyjny urząd mieni zdrajcą.
A wszyscy mają racje przeważnie niestety!
Lecz z tej racji nie będą nic tańsze kotlety.
Z tej racji, mój burżuju, nie zjesz szynki kęsa
I tylko paskarz jada codzień sztukę mięsa.
A tłuszczem obrastają spaśne już rzeźniczki.
(Inteligencja za to przypomina tyczki).
Tak, wszyscy mają rację w swoich oskarżeniach,
Wszyscy czynią pogrom na naszych kieszeniach.
Chłop z „panem" nas z pieniędzy łuska niby ziarno.
A rzeźnik nas zarzyna, jak krowę ofiarną.
Garbarz znów swojem zdzierstwem garbuje nam skórę.
Kupiec, śrubując ceny, robi w sakwach dziurę.
Robotnik ma dochody dzisiaj już bankiera.
Paskarz z lichwiarzem resztę grosza nam wydziera.
Magistrat im na wszystkie łajdactwa zezwala,
Bo ręka rękę myje, swój swego ocala.
Urząd aprowizacji też niema wymówki
Kultywując bezczynność i święte łapówki —
Bowiem wszystkich zachłanność opętała wściekła,
Tak, że za zyskiem każdy szedłby na dno piekła.

Trza zawrócić z tej drogi — oto nasza rada.
Niechaj każdy swą winę, nie drugiego bada.
Gdyż inaczej nas czeka horoskop ponury:
Zjemy się tak wzajemnie, jako z bajki szczury!...



DZIENNIKARZ.

— Gdzieżeś się pan podziewał? nie widziałem już pana ze dwa tygodnie...

— Byłem w Wilkopolsce na zjeździe dziennikarzy...

— Dziennikarzy? Odkąd że pan został dziennikarzem?

— Właśnie w przeddzień zjazdu, a d h o c...

— A cóżeście na tym zjeździe robili?

— A no jedliśmy aż się uszy trzęsły i piliśmy, jak smoki...

— Więc tylko takie wspomnienie przywiozłeś pan ze sobą.

— O nie. — przywiozłem jeszcze jedną z paczek cukru, któremi nasz obdarzono w cukrowni Kościańskiej...

— O tem wiem — czytałem w dziennikach, żeście te paczki „unieśli ze sobą skwapliwie". — Więc jednem słowem podoba się panu stan dziennikarski?

— Bardzo. Życie słodkie i niekosztowne.



— Jadę do Warszawy, aby napoić oczy przecudownym widokiem...

— Co takiego?

— Będę widział całą bandę zaaresztowanych paskarzy..

— To, wiesz jegomość, i ja się z tobą na tę ucztę duchową wybiorę, bo takiego miłego dla serca widoku nie doczekam się nigdy w Krakowie.

— Przyznam się jegomości, że przestałem wierzyć w osławioną praktyczność Poznańczyków?

— Czemu?

— A no, bo urządzili zjazd dziennikarski w zimie, zamiast urządzić go w czasie właściwym. Nie postarali się też o udział wybitnych publicystów i wyrzucili ogromne pieniądze na huczne przyjęcie reporterów i grafomanów, którzy hurmem się zgłosili, aby się najeść i napić i przewietrzyć na koszt publiczny.

KIKI.

„Bagatela“ wystawia głupią farsę „Kiki“,
W której „Naprzód“ dopatrzył się woni i smaku.
Tymczasem według zdania złapanej publiki.
Nie jest to żadne „Kiki“ ale proste „Kaku“.

Sejm nasz, choć taki młody, już doszedł do sławy,
Jaką posiadł parlament wiedeński, paryski.
Nietylko, że lewica podnosi w nim wrzawy,
Ale się już posłowie biją nawet w pyski.

Z ŻYCIA ŻOŁNIERSKIEGO.

— Wiesz, ten Szymon z drugiej kompanji, to ma psiakrew zawsze glik.

— No?

— Siedział w pace trzy tygodnie o suchym pysku?

— To gdzie glik?

— Naprzód nie dostał niestrawności, a potem bez cały ten czas deszcz lał jak z cebra, to sobie przynajmniej gamaszów nie zamoczył.

— Czego ty ryczysz, rekrucie zatracony?

— Mam z doma wiadomości strasznie przykre?

— Co takiego? Zachorował ci stary, abo macierz?

— E, to nie, ale będą zabijać wieprzka, a mnie przy tem nie będzie.

— Felek, była tu twoja dziewczyna.

— Skąd wiesz, że moja?

— No, bo się pytała: czy niema tu tego idjoty?

— Pod Lwowem, to nam dawali po pięć kumetów dziennie.

— Wielkie co. Jak byłem pod Husiatynem, tośmy dostawali po ćwierć funta tytoniu dziennie.

— E, ofermy głupie. U nas na rumuńskiej granicy, to dawali codziń żołnierzowi po jednym takim grubym skórzanym, że jakeś brachu zapalił ono cygaro w poniedziałek, toś ledwie w sobotę skończył. Samego popiołu beło ze trzy funty.

ZMIANA KUCHNI.

— Co ten Jędrek ma teraz taką gębę tłustą?

— Zmienił jadłodajnię prywatną. Dawnij ci nabierał na romanse parzygnatki od hrabinów i książąt i przymierał z głodu — teraz się zabrał do kucharek od rzemieślników, kupców i paskarzy i ma żarcia tyle, że mu gardłem wyłazi.

STARA POLSKA.

Nasza stara Polska, to ten wójt otyły, nie dbający o to, aby we wsi były gazety i książki. Dobrze mu się darzy, jeśli jest najwięcej głupich gospodarzy. „Całem stadem owiec jeden baran rządzi. I ja tak potrafię“, tak o sobie sądzi.

Nasza stara Polska, to ten pisarz w gminie, który ongiś pasał konie, bydło, świnie. Nauczyciel wiejski wyciągnął go z błota. Dziś u niego wszyscy: to wiejska hołota. Ksiądz i nauczyciel u niego duraki. W naszej starej Polsce bywa pisarz taki.

Nasza stara Polska, to ten chłop bogaty, składający pilnie banknoty do szmaty, wkładający wszystko tam do jakiejś dziury, aby miały co jeść myszy albo szczury.

Nasza stara Polska, to kobieta tłusta, troszcząca się o to czy jej tam kapusta ładnie w polu rośnie. Nic ją nie obchodzi, że jej własne dziecko koło domu chodzi brudne, zawalane. Nie idzie do szkoły, bo pocóż jej dziecku są szkolne mozoły; wszakżeż wiedzą wszyscy, że dość jest bogata. Ona i tak córkę za kmiecia wyswata.

Nasza stara Polska, to wioskowy młodzian, który wygolony, w nowe szaty odzian, ręce w kieszeń wkłada, na gościńcu staje, drogą przejść spokojnie nikomu nie daje. Wykpi on każdego niewinnego Bogu, sam zaś jest tak głupi, jak tabaka w rogu.

Nasza stara Polska, to dziewczyna wiejska, która wystrojona tak, jak panna miejska, jak ów paw nadęta, do kościoła bieży, w drodze się naśmiewa z biedniejszych odzieży. Zajrzyj do jej domu, rozglądnij się wszędzie, zaraz zauważysz, że to plucha będzie.

* * *

Ustąp, stara Polsko, miejsca Polsce młodej! Znajdź się w naszych wioskach, mądry wójcie młody! Odmłódź swoją wioskę! Pobudź do oświaty! Niech przy tobie każdy: biedny czy bogaty, w naszej wiosce stanie. Nowa Polska woła: Rozglądnij się, wójcie, uważnie dokoła i zrozumiej dobrze, że wójtowa głowa musi nad tem myśleć, jak się na wsi chowa nasza młoda Polska, nasza młodzież droga. Wskaż jej, młody wójcie, że jedyna droga do lepszego bytu i długiego życia — praca i oszczędność, nie chęć do użycia. Niech, wójcie, przy tobie i ten pisarz gminny w odrodzonej Polsce już się stanie inny. Za twojem staraniem niechaj to zrozumie, że jest bardzo mało, gdy napisać umie jakieś tam podanie. Mądry pisarz z niego, gdy się pośród swoich niema za lepszego. Wykaż, młody wójcie, sąsiadowi temu, który każdy banknot chowa pokryjomu, że zbrodniarz jest z niego, gdy on wszędzie widzi, że handel i przemysł mają w ręku żydzi, on zaś pieniądz dusi.

Wołaj, młody wójcie, na wiejskie kobiety, aby nie pędziły dzieci do roboty, gdy są w wieku szkolnym, a nauka w szkole. Umysł dziatwy szkolnej, to jakby to pole, w które nauczyciel sieje ziarno cnoty. Niech skończy naukę, potem do roboty!

Pisarzu i wójcie, do czynu się weźcie i nauczyciela do pracy poproście. Dostatek nastanie. Nastąpi zbratanie biednych z bogatszymi. Ojczyzna powstanie silna i bogata. Niech się i pół świata na Polskę uweźmie, nie dokaże swego, bo jeden za wszystkich — wszyscy za jednego w nowej Polsce będą. Precz kłótnie i swary!...

Za twym wpływem, wójcie, wszystkie te przywary w naszej polskiej wiosce niechaj już ustaną. Zgoda, jedność, równość niechaj raz nastaną! Trudne to zadanie, lecz uczucie miłe. Oby serca wójtów były na to czułe! *J. K. Tatara.*

POKORNA PROŚBA.

Strejki, strejki, strejki wszędzie!
Cały świat rozstrejkowany —
Źle jest, jeszcze gorzej będzie —
Cały świat zdenerwowany!
Nawet ten, co miljony
Na paskarstwie zdołał zdobyć
Smutny i zirytowany.
Strejki chcą go zabić, dobić!
Rząd i sejm nie mają siły,
Aby zwalczyć zło, co męczy,
Aby strejkom podciąć żyły —
By skonało to, co dręczy!
Draby, które urządzają
Strejki, w sercu mając jady,
Szydzą, ziemię opuszczają,
Jak piekielne, wściekłe gady!
Wielki Stwórco! czyż stworzony
Świat jedynie dla udręki?
Czyż jedynie przeznaczony
Tylko złe mieć z Twojej ręki?
Czyż na tych, którzy strejkują
Zabrakło piorunów w niebie?
Strasznych zaraz, co mordują,
Niema w górze tam u Ciebie?
Czyż chcesz, ażeby świat cały
Mordowany wciąż strejkami
Zginął marnie i bez chwały,
Cały okrył się trupami?
Ja Cię błagam! zrób z litości,
By złe, które nas zabija,
Nie dręczyło już ludzkości
Zginęło jak piekieł żmija!
By wstąpiła w nas otucha,
Że przyszłość los lepszy kryje —
Że wyzioną swego ducha
Strejkarze te podłe żmije!

XXXIX. LIST KACPRA KRUPY
WSPÓŁPRACOWNIKA "DJABŁA" z PARYŻA.

Wielebna Redakcjo!

Jutro wyjeżdżam z Paryża i udaję się do Rygi, aby spowodować zakończenie pertraktacji pokojowych. Być jednak może, że jeżeli mi na to czas pozwoli, wstąpię do Londynu, aby Anglikom w kwestji Śląska powiedzieć verba veritatis. Wczoraj byłem u jenerała Focha z wizytą pożegnalną. Bardzo sympatyczny człowiek. Oświadczył mi, że sojusz z Polską już zawarty i że jak zajdzie tego potrzeba, będziemy razem prać Niemców i bolszewików. Ja Fochowi, aby go uczcić, wręczyłem krakowską markę ewakuacyjną Nr. 19089, co go bardzo ucieszyło, bo takiego orderu oprócz niego nikt w całej Francji nie ma i mieć nie będzie. Foch pytał mnie, czy byłem na grobie nie znanego żołnierza? Oświadczyłem, że dotąd nie miałem czasu, ale, że dziś jeszcze tam się udam. Dziś też poszedłem na grób nieznanego żołnierza, chociaż utnij łeb, nie mam pojęcia jak się ma ta sprawa z tym żołnierzem i dlaczego mu po śmierci nie dają spokoju i z miejsca na miejsce go przenoszą. Na grobie złożyłem mój bilet wizytowy z napisem:

Tutaj spoczywa żołnierz nikomu nie znany,
Przez wszystkich wielce czczony i kochany,
Bo jego zasług jest ogromna kupa,
A więc go uczcił także Kacper Krupa.

Prawdopodobnie ten żołnierz wizyty mi nie odda.

Zastrzegłem sobie, aby mi przy odjeździe nie urządzano żadnych pożegnalnych owacyj.

Paryżanki bardzo mi się podobały. Tu jest wszystko tańsze niż u nas. Za jednego franka można dostać całą putnię polskich marek.

Sługa

Kacper Krupa

Kawaler krakowskiej marki ewakuacyjnej Nr. 18907.

MONOLOG SZMAJGEŁESA.

Sztuki moją namiętnoszczą
Malowane, czy rzeźbione —
Podziwiam je z czekawoszczą,
Gdy une są wystawione.
Z tego, co wszystko widziałem
Czasem miałem zawrót w głowie
Nie raz sobie też miszlałem:
Bzika mają malarzowie.
Na obrazach kolorowe
Niebieskie widziałem krowy —
Cielęta pomarańczowe —
Dzika co był lazurowy!
Widziałem kunie zielone —
Ludziów koloru cytryny,
Co jak z tęczą zabarwione
Miały nos, gębę, czupryny;
Trójkątne widziałem głowy —
Ręce z trzynastu palcami —
Nawet księżyc kwadratowy
Co się chował za chmurami;
Słońce, kiedy zachodziło
Na obrazie po za góry,
Co jak wielki trójkąt było
Tak zwiglądu jak z figury;
Widząc to, miszlałem w głowie,
Że choć dzieła te szwankują,
To panowie malarzowie
Jako widzą tak malują.
Że może kiedyś w przyszłości
Formy szwata będą nowe —
Że szwat zyska na barwnoszczi,
Słońce będzie kwadratowe.
Ludzie w kratkę — psy żelone —
Krowy jakby z gumiguty: —

Wody okrem zabarwione —
Śnieg jak szwarcowane buty!
Lecz kiedy szkoły formistów
Poszedłem podziwiać dzieła,
To kląłem do djabłów trzystów,
Szewska mnie pasya wzięła!
Zobaczyłem nie obrazy,
Lecz jakieś gnijące flaki
Pełne wstrętu i odrazy,
Wyjęte z głębi kloaki!
Na okopisku szukają
Te malarze swe modele —
Prosektorya odwiedzają
Gdzie przeróżnych flaków wiele!
Szwat jest przez nich przedstawiony
Pod okropnie wstrętnym znakiem,
Ja gdyby był otoczony
Cuchnącym, gnijącym rakiem.
Od wystawy, co widziałem,
Od te wstrętne okropności
Cały tydzień chorowałem —
Dotąd cierpię na nudności!

AMOREK.

Państwo Janowie byli bardzo szczęśliwem małżeństwem pomimo, że dzieci nie mieli. Dzieci, zastępował im mały ratler Amorek, którego kochali jak rodzonego syna. Amorek pędził też żywot bardzo przyjemny; był ciągłym przedmiotem trosk państwa Janów, a odżywianie go pomimo drożyzny było świetne i państwo Janowie nie wahali się nawet w dnie postne raczyć go sporą ilością kiełbasy. Ponieważ i sługa dla Amorka była barbzo przychylnie usposobioną, obdarzała go przy każdej sposobności przysmakami. Wreszcie i stróżka domu, aby się odwdzięczyć za liczne przez Janów dawane napiwki, co tylko mogła wkładała Amorkowi do pyska. Skutkiem tego tak intezywnego odżywiania Amorek, który początkowo był chudym jak na przyzwoitego ratlera należy, tył w sposób tak przeraźliwy, że znawcy nie przepowiadali mu długiego żywota. Do wozu tramwajowego sam wejść już nie był w możności i Janowie przy pomocy innych jadących musieli go wnosić. Gdy wychodził w domu na schody, to tak sapał, że jego sapanie rozchodziło się po całej kamienicy. Janowie zaczęli się trwożyć o jego drogie im życie i z tej przyczyny zawezwali profesora weterynarji, który ku wielkim zmartwieniu Janów stwierdził że Amorek wkrótce umrze na udar mózgowy. Zapisał jednak wielką ilość leków, które zbyteczną otyłośc miały usunąć i wyraził zdanie, że po usunięciu tej nadmiernej otyłości Amorek jakiś czas jeszcze żyć będzie. Wszystkie jednak lekarstwa lekarstwa okazały się bezkutecznemi i Amorek tył dalej w sposób przerażający. Katastrofa zbliżała się szybkim krokiem. Pani Janowa często z tego powodu zalewała się łzami.

W tej samej kamienicy na czwartem piętrze mieszkał skrzypek, który cały dzień różne melodje wygrywał i miał psa buldoga. Otóż ile razy na dywanach które okrywały schody, ukazała się podejrzana plama, wszyscy w kamienicy, nie wyłączając stróżki, o ten niecny czyn rzucali podejrzenie na buldoga skrzypka, utrzymując, że tylko on tak się nieestetycznie zachowuje, bo Amorek jest psem dobrze wychowanym i czegoś podobnego nigdyby nie uczynił.

Skrzypka te ciągłe żalenia się na jego buldoga, którego tak kochał, jak państwo Janowie Amorka, bezustannie irytowały, zwłaszcza, że uważał zarzuty czynione jego buldogowi za bezpodstawne i całą winę przypisywał Amorkowi. Postanowił się zatem zemścić, a zemsta miała być straszną. Kupił wspaniały kawałek polędwicy, nasypał sporą ilość sinku potasu i położył przed drzwiami mieszkania Janów. Amorek spostrzegłszy smaczny kąsek, rzucił się na niego i w jednej chwili polędwica wraz z sinkiem potasu spoczęła w jego żołądku. Skutek był straszny! Amorek ciężko zachował, a profesor weterynarji oświadczył, że wyratować go nie ma możności. Pani Janowa dzień i noc czuwała nad chorym, który pomimo nastrzykiwania mu kamfory, soli, stawiania ciętych i suchych baniek i innych środków leczniczych, lada chwila miał się przenieść do wieczności. Prawie co kwandrans musiano go wynosić na ulicę, skąd wracał lżejszy o kilo. Choroba Amorka trwała dni kilkanaście, schudł tak, że wyglądał jak zając. Nareszcie dnia jednego powstał z łoża boleści, zaczął szczekać, czego od dłuższego czasu nie czynił i okazywał chęci zjedzenia czegoś pożywnego. Uciecha państwa Janów była ogromna. Profesor weterynarji cofnął dyagnoze co do zwapnienia aorty, a Amorek do tego stopnia odzyskał zdrowie, że nie sapiąc, jak wiewiórka biegał po całej kamienicy i do wozu tramwajowego wsiadał bez żadnej pomocy. Skrzypek zaś gdy atentat się nie udał i gdy przyszedł do przekonania, że nieśmiertelność Amorka jest sto razy większą niż jego jako skrzypka, wraz ze swoim buldogiem z kamienicy się wyprowadził.

Z TYGODNIA.

(Luźne kartki. — Feljeton składany).

I. Przymierze na papierze.

Kiedy wszyscy dostawali małego bzika z radości, że Naczelnik pojechał do Paryża. Djabeł miał odwagę powiedzieć, że dopiero wtedy z radości...

...skakać będzie jego obowiązkiem.
Gdy powróci Naczelnik do nas z Górnym Śląskiem.
Gdy z podróży nam przywiezie Polskę silną,
Gdy Ententa nam przysądzi polskie Wilno.

Niestety, po podróży Naczelnika sprawa górnośląska jeszcze się pogorszyła, a losy Wilna, jak były, tak i są zagadką.

Pierwszy rozdział zatem „romansu francuskiego" kończy się zgrzytem. A tyle beli papieru

entuzjazmami zapisano, tyle miljonów na podróż poślubną kochanków wyrzucono, tyle legij honorowych i orłów białych rozdano.

Ale przymierze francusko-polskie istnieje. Stoi jak mur. Tylko widocznie w tym murze są wielkie dziury, bo różne bydlęta przez niego się dostają i nieporządek robią, zasiewy niszczą.

W takich warunkach przymierze schodzi na przymierzanie komuś czegoś, czyby czasami nie... pasowało. Francji ono pasuje, bo na wypadek wojny spodziewa się uzyskać zbrojne poparcie sojusznika, a na czas pokoju nic jej nie grozi.

Ale nam to przymierzane przymierze nie pasuje już nawet w czasie pokoju, bo mimo tego pokoju sprzymierzeńcy nie mogą, czy nie umieją, czy nie chcą zasłonić nas przed ciosami.

Przegrywamy sprawę za sprawą, a wierni sprzymierzeńcy mają dla nas tylko miodowe słówka, czułe uściski, gorące toasty — i na tem koniec.

Jeden z naszych wierszorobów nadesłał nam wiersz, rozpoczynający się od słów:

Jest przymierze, jest przymierze...
Gdzie? — Nie widzisz? — na papierze.
Na to ja ci powiem szczerze:
W to przymierzę nie uwierzę,
Dopóki go nie przymierzę.
Bo nas Anglik sztuką bierze,
Niemiec rzuca się jak zwierzę,
Czech się puszcza na kradzieże,
Litwa czyni gwałty świeże,
A francuskie wciąż przymierze,
Co podoba się Sapieże,
Jest i było na papierze.

Wiersz to nie wspaniały pod względem formy, ale sens w nim jest.

II. Oszczędzajcie!

Rząd nasz składa się z samych idealistów. A przynajmniej idealistami najwytrwalszymi okazali się pp. Witos, Skulski, Przanowski i Grodziecki, którzy podpisali odezwę rządu, nawołującą społeczeństwo do oszczędności i zwalczania zbytku.

Mężowie ci w szlachetnym idealizmie łudzą się jeszcze, że ich odezwa wskóra cokolwiek — że nie będzie głosem wołającego na puszczy i że skłoni ludzi do większego liczenia się z groszem i zaniechania bezmyślnego szastania pieniędzmi — słowem nawróci niejednego i niejedną na drogę oszczędności.

Za pozwoleniem — ale kogo ona nawróci, kogo mianowicie?

Czy tych, którzy mimo napozór dobrych zarobków, ledwie najpilniejsze swe potrzeby życiowe opędzić mogą? Czy tych ojców rodziny, którzy mają choćby 12.000 marek miesięcznie, ale za sam chleb i bułki płacą koło 3000, za mięso koło 5000 i t. d. i t. d., a spragnieni są już nie smaku masła, ale jego widoku. Tych od zbytków odciągać i do oszczędności zachęcać jest bardzo łatwo, bo ich na zbytek nie stać, bo oszczędnymi być muszą, choćby nawet byli marnotrawcami z urodzenia.

A może rząd pragnie swym apelem trafić do tych, co istotnie zbytkownie żyją za zrobione na pasku, na lichwie, na zdzierstwie pieniądze. Może chce trafić do tych właśnie, dla których zbytek paskarski jest jedynem źródłem życia, jedyną podstawą i jedynym celem istnienia. Rząd tych nawołuje do zwalczania drożyzny, którzy tej drożyzny na własnej skórze całkiem nie odczuwają, którym nic się nie wydaje za drogie.

Ongi, „in tempi passati“ było w Polsce przysłowie:

Za króla Sasa
Jedz, pij i popuszczaj pasa.

Dziś czasy się zmieniły. Dziś mamy „tempi paskati“, w których panuje wszechwładne przysłowie:

Gdy cię głaszcze losu łaska
Żryj, chlaj i... nie puszczaj paska.

Paskarze wszelkiego autoramentu trzymają się za ręce, popierając się wzajemnie. Oni nie zaczną oszczędzać i drożyzny zwalczać nie będą, bo to byłoby sprzeczne z ich własnym interesem. Wśród nich odezwa rządu apelu nie znajdzie.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Władysław Borkowski. Zakłady Graficzne E. i Dr. K. Koziańskich w Krakowie.